Nr. 46 Rok 2 Kraków, dnia 16 listopada 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



CIĘŻKA ARTYLERIA NIEMIECKA POD MOSKWĄ

PODCZAS GDY LENINGRAD JUŻ DAWNO ZAMKNIĘTY JEST OD STRONY LĄDU I MORZA PRZEZ WOJSKA NIEMIECKIE I SPRZYMIERZONE, STAJE SIĘ PIERŚCIEŃ DOKOŁA MOSKWY CORAZ CIAŚNIEJSZY. JUŻ DAWNO ZNAJDUJĄ SIĘ W RĘKACH NIEMIECKICH TAKIE MIASTA JAK TUŁA I KALININ. I CORAZ BLIŻEJ PODSUWAJĄ SIĘ WOJSKA NIEMIECKIE POD STOLICĘ BOLSZEWII, Z KTÓREJ CZERWONI WŁADCY W MIĘDZYCZASIE UCIEKLI.

Fot. Atlantic — Stracke



PRZEMARSZ ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH PRZEZ CHARKÓW

W głębi rzucają się w oczy olbrzymie gmachy domu ciężkiego przemysłu. Gdyż Charków był ważnym centrum przemysłu rosyjskiego, zanim wpadł w ręce niemieckie. Ale wsie a la Potemkin nie pokazują prawdziwego oblicza bolszewizmu. Poznać go można o wiele łatwiej ze zdjęcia obok w kole. Kobiety gotują na ulicy nędzny obiad, gdy bezmyślne zniszczenie mienia ludności cywilnej przez bolszewików wpędziło ludność cywilną terenów zdobytych przez Niemców w jeszcze większą nędzę niż przedtem.

Fot. Ass. Press 3, Scherl 4, Atlantic.



WEJŚCIE DO STALINO

Dla bolszewickiego przemysłu zbrojeniowego był Stalino, ważnym centrem stalowym w Zagłębiu Donieckim. Także i ono wpadło w ręce niemieckie i w międzyczasie zdobyta została wielka część półwyspu Krymskiego i obsadzona przez wojska niemieckie.





NA DROGACH POCHODU NA WSCHODZIE

To zdjęcie zrobione z lotu ptaka pokazuje, że i najgorsze drogi nie są w stanie powstrzymać posuwania się niemieckiego na wschodzie. Przy pomocy grobli przejeżdża się po nich i do 8,000.000 strat bolszewickich dojdą jeszcze większe.



POSEŁ HISZPAŃSKI NA WSCHODZIE

Poseł hiszpański w Berlinie don Jose Finat y Esvira de Romani, hrabia Mayaldo (w baskijce), zwiedza z atache wojskowym poselstwa, hrabią Rocamora hiszpański szpital polowy na froncie wschodnim.



4.200 WAGONÓW W 48 GODZINACH

W dwóch dniach jedynie rozbiły na Wschodzie bombowce niemieckie 11 pociągów transportowych z pełnym ładunkiem, a uszkodziły 199. Razem zniszczyły 4.200 wagonów. Nasza ilustracja przedstawia zbombardowany dworzec sowiecki.



ORDERY FIŃSKIE DLA ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH

Generał Heindrich, naczelny dowódca fińskich wojsk w Karelii, udziela fińskiego orderu wolności żołnierzom niemieckim.





MANIFESTACJA W RZYMIE

W dwudziestolecie marszu na Rzym odbyła się w Rzymie wielka manifestacja czarnych koszul. Manifestanci nieśli plakaty i transparenty z hasłami przeciw żydom, bolszewikom, Rooseveltowi i politykom brytyjskim. Do olbrzymiego zgromadzenia przemówił minister Pavolini (w kole).

ZDOBYWCY przestworzy



Sterowiec-próżnia Francesa de Lana, który miał zostać uniesiony do góry przez 4 kule pozbawione powietrza.



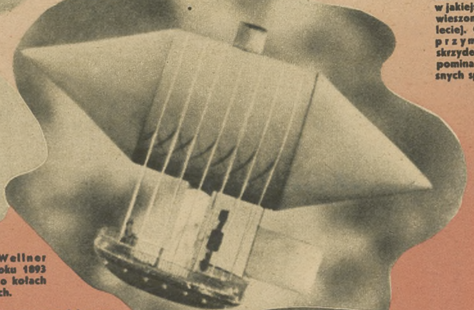
Otto Lilienthal zrealizował dawny pomysł Dedala i w roku 1893 wzleciał na polach pod Berlinem na skrzydłach.



Według podań greckich Dedal, budowniczy Labiryntu był pierwszym człowiekiem latającym w powietrzu, który skonstruował skrzydła dla siebie i swego syna Ikara, by ujść przemocy króla Minosa na Krecie. Od dawna marzenie o lataniu zaprzątało umysły ludzi, dokonywali oni licznych prób i niejeden musiał zapłacić życiem tęsknotę dorównania ptakom i unoszenia się w przestworzach. Musiano stworzyć wpierw odpowiednie warunki w postaci najrozmaitszych wynalazków, zanim mogło być spełnione odwieczne marzenie ludzkości zdobycia przestworzy. I gdy dawniej miano właściwie tylko bardzo romantyczne wyobrażenia o wartości latania, myślano może tylko o szybszym pokonywaniu odległości lub o badaniu nieznanych terenów, to z biegiem lat stał się samolot najważniejszym środkiem bojowym w nowoczesnej wojnie i już wojna światowa z roku 1914—18 dała w tym kierunku pewne słabe początki. Po rozbiciu sowieckiej broni powietrznej jest chyba niemiecka broń powietrzna najsilniejszą na świecie, a także i ze względu na jej nowoczesną konstrukcję, szybkość jej maszyn bojowych, których zasięgu i sprawności bojowej nie przewyższa dziś żadna inna broń na świecie. Przy rozbiciu dywizyj bolszewickich okazały się niemieckie samoloty bojowe równie niebezpieczną bronią jak spadochroniarze niemieccy, którzy poprzednio drogą powietrzną zdobyli wyspę Kretę uchodzącą za wprost nie do zdobycia. Mieszając się w walkę drogą powietrzną walnie przyczynia się lotnictwo do zmiażdżenia nieprzyjaciół nowej Europy.



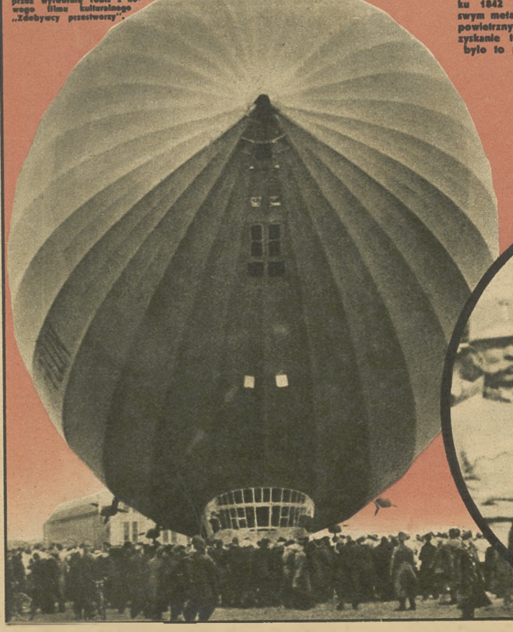
Niemiec Jerzy Wellner skonstruował w roku 1893 maszynę latającą o kołach skrzydlastych.



Leinberger wywołał w roku 1842 duże wrażenie swym metalowym statkiem powietrznym, ale na wyzyskanie tego wynalazku było to przedwcześnie.



Wilhelm Kress, Wiedeńczyk, skonstruował w roku 1901 statek powietrzny zaopatrzony w rodzaj żagla.



W roku 1900 wystartował na jeziorze Bodeńskim pierwszy sterowiec „Zeppelin". Na zdjęciu „Zeppelin" zbudowany w roku 1935.



Hr. Zeppelin był entuzjastycznie przyjmowany w dniu 9 czerwca 1913 r. po przybyciu do Wiednia na swym sterowcu.

Fot. Ass. Press 2
Sig. Seiler 2
Archiwum I. K. P. 1

Pozostałe zdjęcia zostały nam łaskawie oddane do dyspozycji przez wytwórnię Tobis z nowego filmu kulturalnego „Zdobywcy przestworzy".



Kreteński posążek Ikara z brązu znaleziony na wyspie Ikarios i niegdyś tu w jakiejś świątyni zawieszony (4—3 stulecie). Czyż sposób przymocowania skrzydeł nie przypomina nowoczesnych spadochroniarzy!



Dzisiejsza maszyna włoska, nazwana „Alcione". Ponieważ jest przeznaczona do lotów na pustyni pomalowano ją pstro, aby jak najmniej odbijała od otoczenia.



Szybki samolot bombowiec niemieckiej floty bojowej noszący miano „Wespen" oryginalnie pomalowany.



Bombowiec niemiecki typu Junkers „Ju 87". Samoloty te mają daleki zasięg i mogą zabrać z sobą duży ładunek bomb.



Oto niemiecki samolot torpedowy typu „He 111". W przedniej części kabiny samolotu widoczny jest strzelec torpedowy. U dołu torpedy powietrzne.



Do niemieckich samolotów torpedowych ładuje się nowe bomby.

ODWET

Humoreska

Mietek Leśniak i Janek Styk od wczesnej młodości byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Często bardziej wojowniczo usposobiony Mietek pociągał powolniejszego Jasia do różnego rodzaju psot, które w większości wypadków kończyły się „nakryciem" ich przez opiekunów i gruntownym „trzepaniem spodenek" młodocianych poszukiwaczy przygód.

I nawet teraz, gdy każdy z nich dźwigał już na swych muskularnych barach ponad dwadzieścia wiosen — bardzo często widywano ich razem, a nie rzadko świeży ich „wyczyn" był na długo tematem rozmów i wesołości ich przyjaciół i znajomych.



Snująca się dotychczas nieprzerwanie złocista nić zgody między obydwoma młodzianami została jednak nagle i niespodziewanie przecięta. Bo oto, gdy pewnego przesiąkniętego czerwcowym żarem niedzielnego popołudnia przechadzali się wypełnionymi publicznością plantami krakowskimi — wpadła im „w oko" jedna z przedstawicielek płci pięknej. Fakt ten stawał się zupełnie zrozumiałym, jeżeli spojrzało się na jej postać. Od stóp, uwięzionych w drewnianych sandałkach, do falujących, koloru roztopionego złota włosów, przedstawiała okaz skończonego piękna. Rasowe nóżki, toczone ramiona wymykające się zalotnie z rękawów białej, letniej sukienki, uwydatniającej jej bajeczną figurkę, w połączeniu z karminowymi (nie karminowanymi!) usteczkami i błękitnymi głębiami ócz — stanowiły całość, która zachęciłaby każdego do poznania z bliska tego cudu.

Takie też zamiary żywili nasi przyjaciele. Lecz chytrzejszy Miecio postanowił skrycie zaanektować wyłącznie dla siebie to śliczne dziewczątko. Rzekł więc do towarzysza:

— Ponieważ obawiam się, że mogłaby się spłoszyć, gdybyśmy razem przypuścili do niej szturm — projektuję, że najpierw ja sam postaram się z nią zapoznać, a dopiero potem ty przyłączysz się do nas.

Janek, który nie miał jeszcze zbyt dużej wprawy w pozyskiwaniu świeżych znajomości, zgodził się chętnie na plan kolegi, ciesząc się, że ten „odwali" za niego najcięższą część wykonania tegoż. Nie przeczuwając więc niczego złego stanął na uboczu, chcąc zaobserwować dalszy przebieg wypadków.

A tymczasem zadowolony Miecio zbliżył się szybko do pięknej nieznajomej. W jednej chwili znika z jego głowy kapelusz, a z uśmiechniętych szelmowsko ust wychodzą słowa:

— Przepraszam bardzo, czy nie wie pani przypadkiem, która jest godzina?

A dziewczę, aczkolwiek zegarek posiada, chcąc się jednak od zalotnika uwolnić wykonuje przeczący ruch piękną główką.

— Nie wiem.

— W takim razie pozwoli pani, że ja poinformuję: czwarta, minut dwadzieścia, według czasu letniego.

Dziewczyna, spojrzawszy w jego błyszczące wesoło oczy wybucha dźwięczną gamą śmiechu i pozwala już towarzyszyć sobie w dalszej przechadzce. Uszczęśliwiony Miecio korzysta z tego skwapliwie i po uroczystej prezentacji oddala się ze świeżą bogdanką, nie zważając na rozpaczliwe znaki zawiedzionego Janka.

...Słońce w dalszym ciągu zalewa ziemię swym ognistym deszczem. Czasem tylko lekki wiaterek ochłodzi flirtujące i spacerujące zawzięcie parki, a pośród nich Miecia z rozkoszną Halinką. Tymczasem oszukany przyjaciel oddala się z kłębiącymi się pod czaszką myślami, żądnymi odwetu.

* * *

— Do kogóż piszesz ten list? — zwraca się z pytaniem do Janka Styka dziewiętnastoletnia jego siostra Iwona. — Szatański wyraz twej twarzy pozwala mi wnioskować, że nic przyjemnego odbiorca tego listu w nim nie wyczyta.

— Nie przeszkadzaj mi, proszę. Zaraz, gdy skończę, wyjaśnię ci. Jeszcze kilka pociągnięć wiecznym piórem, zaadresowanie koperty i pismo gotowe.

— Chcę zrobić Mietkowi „kawał". Dlatego też całą treścią tego listu są słowa:

„Kochany Mietku! Co słychać z tobą, bo ja czuję się pierwszorzędnie.

Twój Janek."

Panna Iwona zdziwiona unosi mimo woli brwi.

— I to ma być „doskonały kawał?" — pyta rozczarowana.

— Nie pozwoliłaś mi dokończyć. Cały sens kryje się w tym, że na list ten nie nakleję znaczka pocztowego.



Biedny Miecio opłaci go za karę podwójnie, będąc ciekawym treści tego pisma. Ale chłop zblednie, gdy przeczyta te kilka nic nie znaczących słów. Taka jest moja zemsta!

* * *

— Dziś grało się wyjątkowo świetnie! — zachwyca się panna Iwona, wracając z bratem i kilkoma jego kolegami z kortu tenisowego.

W grupie młodych ludzi nie było Mietka Leśniaka. Już przez kilka dni od owej pamiętnej niedzieli nie widzieli się nierozłączni do niedawna przyjaciele. Janek, dumny ze swego „kawału" z listem tłumaczył to ukrywanie się towarzysza jego wściekłością i bezsilnością, powstałą po otrzymaniu przezeń żartobliwej przesyłki.

— Na drugi raz odechce mu się „nabijać w butelkę" przyjaciela i porywać mi tak cenny „kąsek", jakim była owa piękna kobietka — pysznił się głośno.

Tymczasem stanęli przed domem, w którym mieszkał Janek wraz z siostrą. Gdy koledzy zaczęli się żegnać, panna Iwona zaproponowała:

— Możebyście jednak panowie wstąpili jeszcze do nas. Tak dużo czasu do wieczora, a przecież im milej go spędzimy, tym lepiej.

Ponieważ nie odezwał się ani jeden głos sprzeciwu, więc też po chwili cała piątka wypełniała gwarem mieszkanko Styków.

— Może zatańczymy? — spytała panna Iwona i nie czekając nawet na odpowiedź poczęła rozkładać patefon i płyty.

Po chwili pomknęła w wir tańca z jednym z młodzieńców, przyrzekając pozostałym, że każdy z nich doczeka się swej „kolejki".

W tym rozlega się głośne pukanie do drzwi. Po chwili wkracza do pokoju posłaniec pocztowy, uginając się pod pokaźnych rozmiarów paczką.

— To dla pana Jana Styka. Ponieważ paczka przysłana jest na koszt odbiorcy — należy się więc pięć złotych opłaty.

— Że też znajdują się jeszcze porządni ludzie! Ciekaw jestem, kto sprawił mi tę niespodziankę? — zastanawia się nasz Jasio, wręczając posłańcowi banknot.

Kilka cięć nożem i już odpadają kawałki sznurka, potem niecierpliwe ręce rozchylają papier. Oczom zebranych ukazuje się włożony w skrzynkę duży kamień, a obok leży karteczka. Janek czyta ją szybko i po chwili biały świstek wypada mu z rąk.

— Psiakrew! — to jedno zduszone słowo wydostaje się z jego ust.

Iwona podnosi porzucony bilecik i czyta zaciekawionym kolegom:

„Kochany Janku! Ten kamień spadł mi z serca, gdy dowiedziałem się, że się dobrze czujesz.

Twój Mietek."

Gromki wybuch śmiechu zebranych osób (oczywiście z wyjątkiem Jasia), zmieszał się z ostatnimi słowami Iwony.

Włodek Adam

Ślub w ruinach

W Abville, we Francji, ślubowała sobie pewna para narzeczeńska jeszcze przed kampanią francuską, że ślub odbędzie się w kościele św. Wolframa w tym samym mieście. Podczas walk w maju ubiegłego roku, kościół padł ofiarą działań wojennych, tak że zostały z niego jedynie ruiny. Mimo to młoda para chciała pozostać wierna swemu ślubowi i uroczystość zaślubin odbyła się wśród ruin i odymionych posągów świętych, które niegdyś zdobiły wnętrze kościoła.



Aby się dostać do tych ruin, musiał narzeczony nieść w wielu miejscach młodą pannę, gdyż stosy kamieni były tak wysokie, że nie można było przejść. Nastrój był jednakże i tak bardzo podniosły, gdyż cały ołtarz tonął w kwiatach.

MALTA



La Valetta przypomina nieco miasta wschodnie. Ale za ruinami starych budowli i romantycznymi fasadami domów leżą umocnienia angielskie.



U góry: Mieszkanka Malty w stroju faldetty.

Ustawicznie powtarza się nazwa Malty w niemieckich i włoskich komunikatach wojskowych i wciąż nadchodzą wiadomości o poważnych uszkodzeniach umocnień brytyjskich na wyspie. Nic dziwnego, przecież bombowce włoskie mają do przebycia tylko 20 minutową drogę ze swych punktów oparcia na Sycylii, by wyładować swój zagładę niosący ładunek na umocnienia i zakotwiczone w porcie La Valetta brytyjskie okręty wojenne. A umocnienia brytyjskie na wyspie straciły znacznie na wartości dzięki zamienieniu przez Włochy na twierdzę sąsiedniej wyspy Pantellarii. Już od dawna była Malta wyspą, dokoła której toczyły się gorące walki. Tu panowali po sobie Rzymianie i Kartagińczycy, Germanie, Bizantyjczycy, Arabowie i Normanowie. Cesarz Karol V, w państwie którego słońce nie zachodziło, oddał wyspę zakonowi Joanitów wypartemu przez Turków. Ale już Napoleon wdarł się na terytorium należące do zakonu rycerskiego, a zaledwie opuścił on wyspę w swej wyprawie na Egipt, zjawili się Anglicy w porcie La Valetta, który po silnym oblężeniu musiał skapitulować w r. 1800. Chociaż wśród ludności zamieszkującej tę wyspę w liczbie 250.000 przeważa element włoski i mieszkańcy wyspy mówią językiem pokrewnym sycylijskiemu i starają się o przyłączenie do Włoch, zatrzymała Anglia w swych rękach wyspę, zajętą przed przeszło 100 laty.



Powyżej widzimy bombowiec niemiecki nad Maltą, poniżej płonące hangary lotniska angielskiego.



Fot. Ass. Press 3 Weltrundschau 3,

Tak wygląda w umocnieniach angielskich po nalocie.



I w porcie La Valetta nie mają okręty angielskie spokoju przed nalotami niemieckimi i włoskimi.

Polowanie pod wodą



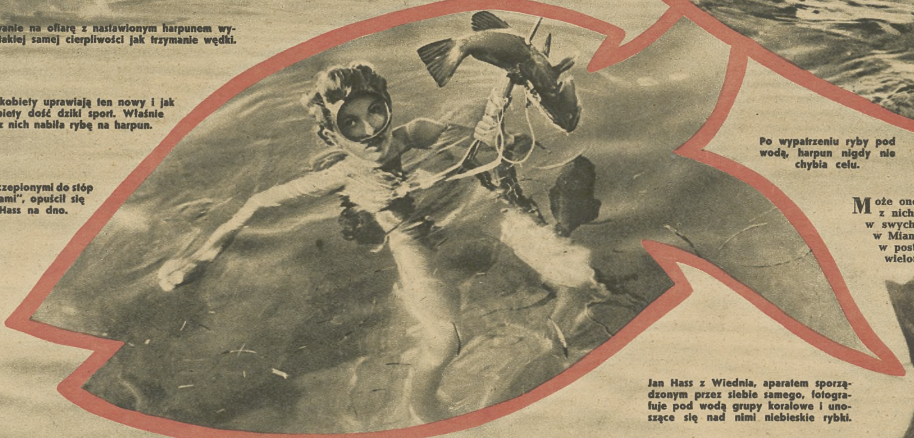
Czatowanie na ofiarę z nastawionym harpunem wymaga takiej samej cierpliwości jak trzymanie wędki.



Po wypatrzeniu ryby pod wodą, harpun nigdy nie chybia celu.



Kiedy rybak z potrzeby łowi ryby w ten dziwny sposób, staje się to dla nas zrozumiałe. Robienie sobie zabawki z tego jest jednak okrucieństwem, u nas niezrozumiałym.



Także kobiety uprawiają ten nowy i jak na kobiety dość dziki sport. Właśnie jedna z nich nabiła rybę na harpun.

Z przyczepionymi do stóp „płetwami", opuścił się Hass na dno.

Fot. Ass. Press Ufa

Może ono być dwojakiego rodzaju: dla przyjemności i w celach naukowych. Pierwsze z nich przedstawiają nam nasze zdjęcia górne, drugie zaś, o wiele szlachetniejsze w swych pobudkach zilustrowane mamy u dołu. Georg Robert, spędzający swe życie w Miami na Florydzie, wymyślił ku rozrywce przybywających nad morze nową emocję w postaci polowania na ryby przy pomocy harpuna. Nie jest to oczywiście harpun na wieloryby, jest to raczej dzida, długa, śpiczasta, przytrzymywana na paskach gumowych. Gdy łowiący wypatrzył już rybę, wyrzuca harpun, którego elastyczny bieg zapewniony jest właśnie przez ową gumę. Nieprzyjemny to nawet dość widok takiej ryby na rożnie.

Młody student z Wiednia, Jan Hass, przedsięwziął przed dwoma laty z dwoma kolegami podróż naukową na morze Karaibskie. Przez stały trening doprowadził on sztukę nurkowania do takiej doskonałości, że potrafił się utrzymać pod wodą tak długo, jak tubylcy z wysp morza Karaibskiego. Te zdolności wykorzystał on w ten sposób, że na wyspie Curacao urządził po prostu polowanie pod wodą na mieszkańców morza. Polowanie nie tylko przy pomocy dzidy lub harpuna, lecz również aparatem fotograficznym, sporządzonym przez siebie specjalnie w tym celu. Zdjęcia uzyskane w ten sposób są jedyne w swoim rodzaju. Przytrzymywany „płetwami" przyczepionymi do stóp, mógł Hass dokonywać zdjęć na głębokości 10 metrów.

Hassowi jako pierwszemu udała się fotografia z ręki pod wodą.



Jan Hass z Wiednia, aparatem sporządzonym przez siebie samego, fotografuje pod wodą grupy koralowe i unoszące się nad nimi niebieskie rybki.



MORZE
Powieść Bozo Lovrica

Powieść z życia dalmatyńskiego

I ciąg dalszy

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

Jak był ubrany, tak skoczył na łeb w morze. Zwarła się nad nim woda i gdy się wynurzył na drugiej stronie, trzymał już w ręce małego topielca. Dziecko, które się bawiło nad brzegiem, wpadło w morze. Jakaś kobieta twierdziła krzykliwym głosem, że widziała z okna, jak jakiś urwis pchnął je w morze, a potem ze strachu puścił pięty z wiatrem. Przysięgłaby, że to był ten hycel Marcin, który jej kamieniem rozbił dzbanek na doksacie.*)

Gdy Nikola z małym topielcem dotarł do brzegu, otoczyli go ciekawscy. Gdyby był nawet jakimś dziwem, nie byliby mu się bardziej dziwili. Powstał koło niego piekielny hałas. Wszyscy wskazywali palcem na Nikolę. Zleciało się całe sąsiedztwo, by widzieć młodego bohatera. Kucharki i praczki zapomniały o swych garnkach, kuchniach i bieliźnie i jak były na pół odziane, bose, z obnażonymi piersiami i podkasanymi rękawami pozlatywały się ze swych mieszkań. Przechodnie, też nie od tego, biegli za kobietami na wyścigi. W ścisku jakiś terminator uszczypnął najbardziej pyskatą babę, ale ona nawet nie odwróciła się ku niemu, tylko jeszcze bardziej kolanami i łokciami poczęła się przeciskać i pchając się i cisnąc, przemocą znalazła się w środku.

Nikola nie mógł się dość nadziwić ludziom, którzy go otoczyli jak mysz w dziurze. Trzymał ciągle za rękę swego topielca i oczyma szukał miejsca, którędy mógłby przejść. W tem nieznajoma kobieta wpadła na niego i jęcząc uścisnęła go i ucałowała. Lamentując wzięła wyratowane dziecko i w towarzystwie wszystkich widzów ruszyła w ulicę. Na niczyje zapytania nie odpowiadała i w jakimś uroczystym i niedorzecznym uniesieniu powtarzała słowa, które niezliczone razy słyszała od płaczek...

Gdy ojciec zobaczył Nikolę całego mokrego, uderzył go z całej siły w twarz. Majster wracał właśnie z miasta i nie wiedział, co się przydarzyło w czasie jego nieobecności. Może być, że jego syna, gdy się bawili, jakiś urwis pchnął w morze? Nikola nie odezwał się ani słowem, tylko łykając łzy ruszył za ojcem. Pierwszy raz teraz uderzył go ojciec w obecności innych. Takiej hańby nie zapomni nigdy! Czy on co winien, że dziecko wpadło w morze? Czy lepiej byłoby może, gdyby się było utopiło?

Nie mógł nijak przeboleć tego policzka. Nawet później, gdy ojciec dowiedział się o jego bohaterskim czynie i gdy go sowicie wynagrodził, nie zapomniał Nikola doznanej krzywdy. Wzmagało się w nim pragnienie zemsty. Dlaczego wszyscy zmówili się przeciw niemu? Nie robi przecież nikomu nic złego! Za cóż go więc wszyscy prześladują? Najlepiej będzie, jeśli się straci. Pójdzie od miejsca do miejsca, aż go głód i bieda zmogą. Radował się będzie, gdy go martwego przyniosą do domu. Niech i ojciec poczuje, co to znaczy, gdy się niesłusznie cierpi.

Właśnie — siedząc na obrobionej belce — przyglądał się, jak rubaszne pastuchy, uzbrojone w drągi i kije, pędzą przed sobą stado bydła. Za bydłem rogatym cisnęło się stado owiec, wznosząc za sobą obłok kurzu. Sama głowa przy głowie. I tak zbite w gromadę i płochliwe, nie chcą nawet słuchać dzwonków u baranów przodowników, ni krzyków poganiaczy. Dopiero gdy zazberkały próżne blaszane naczynia, którymi owczarze straszą bydło, ruszyło stado, podobne do jednego stugłowego i stunogiego zwierza. Za nim wiły się tumany kurzu, które słońce pozłacało. Odblask padał też i na kamienny front rzeźni, która się wznosiła obok warsztatu. Do owego budynku, co zamiast okien ma żelazne kraty, wpędzano zaspałe bydło, które tutaj ma zginąć pod toporem, albo ostrym nożem.

Nikola widział na swoje oczy, jak kłują owce, a woły biją toporami. Trzewia i krew spuszczają w drewniane naczynia. Po pięćdziesiąt zakłutych owiec wisi na zardzewiałych hakach. Rzeźnicy z zakasanymi rękawami ostrzą na brusach noże i tak naostrzone wsadzają między zęby, by im łatwiej było, mając wolne ręce, odzierać skórę. Ciężka skóra zwisa im na nogi, a z czerwonego mięsa wznosi się ciepła para.

Przed rzeźnią, przywiązane do krat, czeka bydło swojej kolei. Ani jeden z tych utuczonych wołów, z których każdy jednym uderzeniem uśmierciłby i najsilniejszego junaka, nie uwolni się i nie próbuje nawet, by jednym nagłym ruchem szyi przerwać powróz. Och, jakżeby się Nikola cieszył, gdyby ten gniady wół wściekł się i nadział na swoje długie i ostre rogi swojego kata! A zwłaszcza żeby się rzucił na tego wysokiego i silnego rzeźnika, który ma kaleką lewą rękę, i żeby go tak — jak to woły potrafią — połaskotał rogiem po żebrach! Rzeźnik przyjąłby go zdrową ręką, która u niego mocniejsza jest, niż uderzenie żelaznego młota. Przed kilku dniami, gdy wpędzał bydło do rzeźni, uderzył pięścią w ciemię jedno spłoszone bydlę, a od tego uderzenia biedne zwierzę zatoczyło się i ledwo, by nie upaść, wsparło się na przednich nogach. „Kalika" — tak go nazywali towarzysze — gdy dobrze pociągnie z flaszki, zdolny jest najmocniejszemu wołu dać rady. Porwie go za rogi i zwierzę ni piśnie.

Gdy mu się który z towarzyszy niepodoba, nie szczędzi „kalika" pięści, a gdy przychodzi do ostateczności, jąłby się i noża. Nie było karczmy ani w mieście ani w okolicy, która by nie opłacała mu haraczu. Gdy nie ma pieniędzy, wszczyna bijatykę i kilku uderzeniami rachunek jest wyrównany. W tym wypadku karczmarz nie stoi o pieniędze, ale jeśli jest rozumny, strzeże głowy i nie miesza się do awantury. Kilka połupanych stołów, ław i dzbanków nie przyprawi go o dziadowską torbę. Lepiej mu przełknąć złość, niż puścić się w tan z tym żywym diabłem.

Ale Nikola nie boi się go. On mu już nawarzy piwa! Narobi mu szkody, choćby go to miało głowę kosztować. Nikola wie, że tego siwego wołu, który jeszcze stoi przywiązany do kraty, przygnał „kalika". Kozikiem przetnie mu powróz, a wół, oswobodzony, niechaj ucieka, gdzie go oczy poniosą. Będzie też to krzyku i bieganiny za nim! A zwierz jest mocny i wściekły, więc nie łatwo da się ująć.

Listopad

Szaruga jesiennych dni
Rozpięta na konarach zwiędłych drzew...
Słońce za oponą mgły,
I wiatru wiew
Nie szemrze w liściach
Umarłych.
Czasem zakreślają mi
Kreski srebrzyste skrzydła białych mew...
Spadają deszczowe łzy,
I słychać śpiew
Kropli na kiściach
Cmentarnych.

Niebo zasnute jest w krąg
Jednostajnymi chmurami jak tło...
Mgła już powstaje z łąk,
Przepadło to
Co było w czasach
Minionych.
Drzewa, proszą gestem rąk
Czarnych, wygiętych i gładkich przez zło...
Lecz nie wykwitnie już pąk
Z gałązki bo
Umarła w lasach
Zwarzonych.

Antoni Sobolewski

Kozik był ostry i Nikola za trzema cięciami przerżnął powróz. Wół, i tak już rozdrażniony widokiem krwi, co w koło niego ciekła, targnął głową i popędził ku niedalekiemu wybrzeżu. Powstał krzyk przechodniów, między którymi najbardziej się darł sam Nikola. „Kalika", ile sił miał w nogach, pędził za wołem. Wszczęła się pogoń i wszyscy rzeźnicy, jak byli okrwawieni i z nożami w zębach, rozbiegli się, by schwytać wołu.

Nikola drżał cały i gdy po długich gonitwach rzeźnicy otoczyli zwierza, z poruszenia chciało serce wyskoczyć Nikoli do gardła. Jeden rzeźnik nie zapomniał nawet o toporze i gdy wół zbliżył się do niego na długość ręki, śmignął go toporem w środek ciemienia. Rozwścieczony zwierz rzucił się na „kalikę", ale ten przyjął go jeszcze cięższym kamieniem i jeszcze celniejszym uderzeniem. Uderzenie nie było jednak śmiertelne i rozjuszony wół z całą siłą runął na niego i przebił go rogami. Z brzucha „kaliki" wypłynęły trzewia i wołu oblała gorąca ludzka krew.

III.

Nikt jeszcze nie uciekł przed karą Bożą. Cóż pomoże złoczyńcy, że skłamie. Bez pokuty, choćbyś uciekł na drugi koniec świata, nie masz przebaczenia. Od dawna słyszał Nikola te słowa stryja, ale dopiero teraz, odkąd sam poczuł się winnym, pojął ich właściwe znaczenie. Mała dla niego pociecha, że nikt nie wie, iż on jest powodem nieszczęścia. Choćby się nawet w głąb ziemi schował, dotknie go palec Boży. Bóg wszystko słyszy i na wielkiej złotej wadze zmierzy dobre i złe uczynki. Wszystko widzi! Promienie jego spojrzenia przenikają w najskrytsze głębie ludzkiego serca. Spojrzenie to wszędzie go ściga. Na próżno zasłania twarz rękoma. Na próżno, zwłaszcza w ciemności modli się skruszony. Dla niego głuche jest ucho, do którego docierają jedynie modły sprawiedliwych. Lecz większym strachem niż kara, przejmuje Boże oko, które bezustannie jest otwarte i dniem i nocą ciągle czuwa. Widział je namalowane na jednym większym obrazie. Wokół oka, które wygląda spośród obłoków, sami wybrańcy Boży, a nad nimi bielutka gołębica, której ze skrzydeł bije światłość, jaśniejsza od słońca. Pod gołębicą — oblani jasnymi promieniami — śpiewają anieli i sprawiedliwi; tylko grzesznicy, poza tą światłością, skryli się w jeden ciemny kąt, strzeżeni i męczeni przez rogatych szatanów. Z ust tych szatanów bucha płomień, pod ich kozimi nogami wiją się żmije, a oni sami, śmiejąc się nabijają swoje ofiary na rozżarzone widły i rozpalone rożny.

Nikola nie może nijak zapomnieć jednego grubego grzesznika, którego sam król szatanów kręcił na rożnie. Daremne były jego jęki i zgrzytanie zębów, gdyż owo oko, co wygląda spośród obłoków, nawet nie zwraca się na grzeszników.

Lepiej by było, gdyby i jego Bóg już raz ukarał, niż ma go męczyć strachem i niepewnością. Niedawno, gdy się wspinał na brzeg i gdy mu się osunęła noga, myślał, że już nadszedł czas kary. Gdyby przed nim nie było krzaków i gdyby korzenie popuściły pod jego kurczowo zaciśniętą ręką, byłby spadł na łeb na szyję. Na dnie przepaści szczerzyły się czarne zębate skały... Gdyby go nawet kto wprost ozłocił, nie próbowałby już drugi raz wspinać się po tej skale. A wszystko poszło stąd, że zwabił go tam wielki pstry motyl. Piękniejszego nie widział Nikola nawet na obrazku. Katecheta ich opowiadał im często, jak to szatan, aby uwieść ludzką duszę, przyjmuje rozmaite kuszące postacie. To Bóg i jego pomału próbuje. Biada temu, kto się zaplącze w jego sieć!

Żeby nawet dożył Matuzalemowych lat, nie zapomni rozdartego ciała „kaliki". Prawdziwe szczęście, że go nikt nie widział, jak kozikiem przecinał powróz. Jego szczęście, że nikt prócz niego nie zna sprawcy. Radby wiedzieć, co by mu zrobili rzeźnicy, gdyby wpadli na jego trop. Z tej strony jest spokojny, ale wszystko mu się zdaje, że z boku śledził go jego kolega Marcin. Od tego czasu jakoś dziwnie go pozdrawia. Nikola wie, że Marcin go nie zdradzi, ale dlaczego tak złośliwie patrzy na niego? A gdyby tak zwierzyć się Marcinowi z tajemnicą? Marcin i tak ma na sumieniu ową małą dziewczynkę, którą ni stąd ni zowąd zepchnął w morze. Gdyby Nikoli nie było, byłoby się maleństwo utopiło. On wiedział o wszystkim, a jednak nie wydał swego kolegi.

Ten chytrzeniec ma go w garści! Zakląłby się na duszę zbawienie, że właśnie w tej chwili, gdy się zbliżył do wołu, Marcin zawołał na niego z całego gardła. Ale pokusa była tak wielka, że nawet stu świadków nie byłoby dla Nikoli przeszkodą w wykonaniu jego postanowienia. Mało stał o to, co się później z nim stanie. Zemścić się, choćby wiedział, że go zaraz ziemia połknie! Och, to słodkie poczucie, że komuś czynisz i oddajesz złem za złe! Niech się go i Marcin strzeże! Przysięga mu i daje słowo, że i jemu nie puści płazem, jeśli go choćby jednym skinieniem zdradzi.

Nie podoba mu się i to, że się Marcin ciągle kręci koło domu tej czarownicy. Nie idzie mu o tę szczerbatą babę, ale o sierotę Anusię. Ten gałgan mógłby i ją, gdy się z koleżankami bawi na skraju brzegu, naumyślnie zepchnąć w morze. A co wtedy, jeśli jego nie będzie w pobliżu? Bałwany odniosłyby Anusię i utopiłaby się.

Ale patrz, cóż on się tam na brzegu płącze koło dziewcząt, ten Marcin? I Anusia jest między nimi. Nikola nie może się zbliżyć, ale dlaczego ten plotkarz nieustannie się wtrąca w dziewczęce zabawy? O, teraz Marysię pociągnął za sukienkę, a Milicy podstawił nogę, że mała uderzyła nosem w proch. Ani jednej nie daje spokoju, a najchętniej dokucza Anusi. Lata za nią i szarpie ją za warkocz. Prawdziwe szczęście, że w tej chwili z okna zawołał Nikolę ojciec, bo inaczej byłaby bieganina i bitka. Popamiętałby go Marcin!

Nikola musiał z ojcem pójść do warsztatu. Przed zachodem słońca spuszczą nową łódź na morze. Wszystko

*) doksat = rodzaj terasy przed domem, z której dopiero wiodą drzwi do domu (przyp. tłumacza).

jest gotowe, tylko czekają na właściciela i jego ludzi. Maszty są już ustrojone chorągiewkami, a pokład zieleni się od bukszpanu. Będzie jedzenia i picia do późnej nocy, a o świcie, gdy pierwszy wiatr zawieje od lądu, rozepną żagle, zgrzytnie ster i po uśpionej jeszcze toni pomknie łódź, by jeszcze przed wschodem słońca wyjść na otwartą toń. Ludzie, upojeni winem i wzruszeni pożegnaniem, śpiewać będą przy wiosłach, że aż ze wszystkich okolicznych dolin oddzwoni echo.

W tę środę — bowiem robotnicy wiedzieli, że ich czeka jedzenie i picie — nie brali się do roboty jak zwyczajnie. Ciężka parność zalegla całe wybrzeże, a ziemia aż pękała od suszy, spragniona deszczu.

Nad szczytem uniósł się obłok. Za chwilę pokryje cały grzbiet górski. Wyciąga się wzdłuż stoków, rozszerza się i ogromnieje i staje się jaśniejszym od grudki rozsypanego śniegu. Dociągnąwszy się do ostatniej góry, co prostopadle opada w morze, zatrzymuje się i nieruchomo błyszczy i czeka, aby go pierwsze uderzenie wichury uniosło w przestworza niebieskie. Gdyby nawet wypalil się w czystym płomieniu, nie bylby jaśniejszy. Przetkany światlem słońca, nieruchomy i jasny, unosi się nad calym krajem.

Ludzie i zwierzęta, rozdrażnieni gorącem, bezskutecznie szukają chłodu. Roje much i komarów napastują spoconych robotników. Obok nich pokładły się psy-stróże i zadyszane, powyciągały ozory i nie szczekają nawet na obszarpanych żebraków, co się tam włóczą. Nie dbają nawet i o koty, co się bez przeszkody wylegują koło sąsiedniego doksatu. Nawet lot jaskółek stał się jakiś ociężały. Latają tuż nad ziemią. Całe ich gromady suną wzdłuż drogi świergocąc ogłuszająco. Słońce ani o dłoń nie nachylilo się ku zachodowi, ale w samym poludniu wparlo się prostopadle w rozpalone kamienisko, ponad którym drga rozgrzane powietrze. Woda, znieruchomiała niby szkło, czeka na pierwszy dech, który ma ozywić martwą jej powierzchnię. W tym poludniowym omdleniu nie słychać nigdzie ni jednego głosu, tylko z niedalekiego domu rozchodzi się kwilenie nienastrojonych gęśli i ustawicznie jedna i ta sama melodia, która dla słuchu i nerwów staje się męką.

Robotnicy z rozchelstanymi piersiami i zakasanymi rękawami ciosają w warsztacie błyszczącymi siekierami. Po kosmatych rękach, oznojonym czole i szyi osiadają im trociny. Ledwo mogą się obronić przed muchami. Rozdrażnieni są i gdyby się nie bali majstra, łatwo by — nawet z powodu jakiego niewinnego słowa — przyszło do bijatyki. Ze spojrzeń, co się na chwilę spotykają, zieje im nietajona nienawiść. W uszach huczy im krew, a rozpalone dłonie kurczowo ściskają młot i najchętniej zamiast po desce lub belce uderzyliby po tych schylonych i osłabłych karkach, co pokorniejsze od związanych niewolników ciosają, piłują, heblują, a wszystko ze strachu przed panem.

I Nikola jest między nimi i czerwony na całej twarzy wierci dziurę w opornym drzewie. Wsparł się łokciami, zacisnął zęby, ale drzewo twardsze jest od kamienia i niewiele mu robi ostry świder. Robotnicy mu urągają. Jest wściekły i z całej swojej siły kręci rączką świdra i cieszy się, gdy stalowe skręty coraz głębiej wgryzają się w drzewo. Obok niego jakiś robotnik wbija klin w gruby kloc i ciągle się z niego spod wąsów śmieje. Nikoli uderza krew do głowy i wciąż go diabeł kusi, by tego robotnika zdzielić nogą. W gniewie i zapracowaniu nie zauważył nawet zaraz, że tam na skraju brzegu Marcin ciska kamieniami do Anusi i jakiejś drugiej dziewczyny. Jakby dłonią w dłoń uderzył, zerwał się Nikola, pobiegl do napastnika i rzucił się na niego. Zmagali się jakiś czas, ale Nikola podstawił mu umiejętnie nogę i trzasnął nim o ziemię. Siadł mu kolanami na piersi i bije pięścią, gdzie dopadnie. Marcin podniósł krzyk i w strachu, na ile jego gardlo stać było, wrzeszczał, jak to Nikola kozikiem przeciął powróz wołu. Nikola chwycił go ręką za gardło, a gdy i to nie pomogło, z przerażenia, żeby się ojciec nie dowiedział o jego czynie, zamachnął się świdrem, chcąc Marcina uderzyć w piersi. Ale ten skupil wszystką siłę, odwrócił się i ramieniem przyjął uderzenie. Prawdziwe szczęście, że w tej chwili nadbiegli robotnicy, bo gdyby przemocą nie byli rozdzielili przeciwników, nie byłby Marcin żyw wrócił do domu.

Skoro tylko Nikola opamiętał się i zrozumiał, co zrobił, rzucil świder i co sil miał w nogach, pobiegł wzdłuż brzegu. Biegł ciągle, póki nie dotarł na drugi koniec. Zmęczony usiadł na kamieniu i gdy zobaczył swoje okrwawione ręce, zapłakal ze strachu i zmartwienia, jak jeszcze nigdy w życiu. Oto ostatni raz grzeje go słońce. Sądzone mu zginąć. Nigdy już więcej nie zobaczy ani Anusi ani ojcowskiego domu...

Ów nieruchomy obłok przerzucił się już i przez górskie szczyty i teraz rośnie, szerzy się, ogromnieje i złowrogim cieniem zasłania cały zachód. Gdy wionie silniejszy wiatr, pokryje całe niebo, a wtedy biada winnicom i żółtawym winnym gronom, jeśli ich nie pozrywała ręka właściciela. A także i z budami z desek i kamieni, co się ciągną szeregiem wzdłuż brzegu, źle będzie, gdy w ich słabe dachy uderzy siła burzy.

Nikola daremnie szuka oczyma schronienia. Wokół niego gołe tylko kamienisko i gdzieniegdzie zagubione drzewko oliwne, które nawet dla ptaka nie może dać schronienia, a cóż dopiero dla dorosłego chłopca. Nie było co biec w ową pustkę, bo oto, jeśli go ulewa chwyci, ni jedna nitka nie zostanie na nim sucha. Nie raz też i grom uderzył w żywego człowieka. Na swoje własne oczy widział, jak piorun, niedaleko od ich domu, rozłupał grube drzewo i pod nim zabił dwóch rybaków, którzy z sieciami i pełnymi koszami ryb schronili się pod drzewo. Mówiono, że ci dwaj ni stąd ni zowąd zabili dla ułowu rybaka Złodrę. Nie chcieli mu dać części ułowu i uderzyli go wiosłem po głowie. Długo, ale nadaremnie szukała go rodzina. Zaginął po nim ślad, jakby go morze połknęło. Sprawiedliwość ludzka była leniwa i nie wykryła złoczyńców. Lecz i ich dosięgnął palec Boży!...

Najlepiej będzie, gdy boczną ścieżką puści się ku najbliższym domom, a jeśli mu szczęście posłuży, pierwej jeszcze, nim po liściach zaszeleszczą pierwsze wielkie krople, dostanie się pod jaki dach. Lekko odcierpi ojcowską karę i cięgi za Marcina, żeby tylko wynieść żywą głowę. Radby wiedzieć, co i Marcin robi i czy go głęboko ranił świdrem. Czy też nie umarł może? Na samą tę myśl przeszła go zgroza. Ale gdzie go to ugodził świdrem? Czy w piersi, czy w głowę albo w szyję, gdzie miał jeszcze jedną bliznę od dawno zagojonej rany? Niczego sobie nie przypomina. Wie tylko, że go ranił. Żal mu teraz towarzysza, a jednak poniekąd dumny jest, że z jego ręki pociekła ludzka krew. Choć nawet Marcin i przeboli ranę, do śmierci będzie nosił bliznę od jego uderzenia.

Od owej gromadki obłoków oderwało się kilka mniejszych chmurek, które niesione przez wiatr rozsypały się po mokrej toni niebios. Gromadnie i oddzielnie, zbiegając się i rozpadając, pędziły ku wschodowi, by obsiąść ów łańcuch górski, którego wierzchołki oświetlone już były przez słońce. W świetle słońca, które koso padało zza rąbków obłoków, można było wyraźnie rozpoznać każdą rozpadlinę i dolinę, a nawet i ogrodzenia winnic, co w regularnych czworobokach pokryły całą jedną stronę gór.

Po morskiej powierzchni zadął wiatr i rozkołysawszy i pociemniwszy morze, rzucił się na domy i otwarte okna. Nie przymocowane okiennice uderzyły o mur i tylko dźwięk rozbitego szkła poderwał spokojnych domowników.

W krótkim czasie miasto i całą okolicę pokryła ciemność. Marynarze nawołują się gniewnie i rzucają liny na brzeg, by jeszcze mocniej przywiązać do kamiennych słupów swoje łodzie. Od świstu lin i skrzypienia masztów ciężko zrozumieć różne przestraszone i przerywane okrzyki. Na brzegu puścili się biegiem i mali i wielcy, a kobiety, też się nie leniąc, podniosły spódnice, by swobodniej mogły biec. I psy podwinęły ogony i nie szczędzą łap. W to ogólne zamieszanie i strach padły pierwsze uderzenia dzwonu z pobliskiej wieży. Biją w dzwon z jednej strony, by odpędzić od miasta grad i burzę.

A wiatr wszystkimi odpadkami, co od kilku tygodni leżały martwo po gnojnikach, śmietnikach i ulicach, zatańczył wirowe koło. Wszystko dostało skrzydeł. Papierami, szmatami, łupinami i liśćmi podrzuca wiatr i obłokami kurzu i śmiecia zasypuje nielicznych już uciekających ludzi.

Również i drzewa, gdyby nawet były chorągwiami, nie kręciłyby się bezwolniej na wietrze. Ile było liści i gałęzi, wszystko to splotło się w bujny, liściasty warkocz, który wiatr rwał, targał, gmatwal po miłej woli. Z jednej strony widać było tylko pień, a z drugiej kołysała się sama korona drzewa.

Wicher zerwał Nikoli kapelusz, więc z gołą głową puścił się w drogę. Ale ów czarny i brudny obłok szybszy jest od niego. Żeby tylko nie zagrzmiało niebo i nie błysnęła błyskawica! Taka sama burza schwytała i rybaków, gdy się schronili pod drzewem. Oto niedaleko od niego jest olbrzymia sosna. Pod jej konarami mogłoby się schronić małe stado owiec. Ponieważ jest na wzniesieniu i samotna, więc zna ją cała okolica. Dobrze ją widzą i bliższe sioła, a w jasny dzień rozróżnić ją można i z tamtych ostatnich domów, które ścisnęły się u podnóża najdalszej góry. Oprócz rzadkich oliwek sosna jest jedynym drzewem na tym dzikim kamienisku. O jej pień łamie się wiatr i burza, a w gałęziach gnieździ się rozmaite ptactwo.

Teraz schronił się pod nią mały pastuszek z kilku kozami. Kozy, z pełnymi wymionami, które prawie po ziemi się im wloką, beczą smutno i lękliwie, skupiając się koło pastucha.

A jakby się tak Nikola schronił pod tę sosnę? Jakiś diabel ciągle go kusi, by tylko chwilę przeczekał, póki nie minie najsilniejsza nawała wichru. A zna także i tego pastucha i nieraz z nim rozmawiał. Lecz znowu przypomniał sobie owych rybaków i gdy dotarł do sosny, zamiast stanąć i pozdrowić pastucha, popędził prosto ku miastu. Nawet się nie oglądnął. Ani go strach przed ojcem ani Marcinem, jedyne tylko ma pragnienie, żeby jak najprędzej stanąć pod czyim dachem. Piasek i pył uderzają mu w twarz, a on z zaciśniętymi ustami i szczypiącymi oczyma pędzi dalej i nie dba o to, gdzie stawia nogę.

Krwawy blask błyskawicy, co na krzyż roztwarła niebo, oblał ląd i morze. Za błyskiem zagrzmiało niebo i gdyby góry się wzruszyły i z przepaści w przepaść padały, nie byłoby silniejszego łomotu i odgłosu. Błyskawica cięła znowu i zwinąwszy się wężowato rozdarła w samym środku ów czarny, brudny obłok. Pierwsze uderzenie pioruna trzasnęło w oddali, a za nim długo jeszcze rozlegało się dudnienie, ginąc od doliny do doliny, aż do owej ostatniej góry, która zamyka widok na otwartą toń. Jeszcze jakiś czas przewalały się za górą głosy gromu, a po tym głuchym i dalekim dudnieniem zgubiły się w przestrzeni. Po dudnieniu, wśród ciszy, która była pełna groźby i złego oczekiwania, posypały się pierwsze, wielkie krople deszczu. Nawet ziarna gradu nie uderzają z taką ciężkością na zaprószone i spalone liście. Sucha i popękana ziemia łakomie pije każdą kroplę. W kurzu można rozróżnić pojedyncze okrągłe ślady kropli. Lecz za tymi pierwszymi ciężkimi kroplami puściła się ulewa, przesłaniając gęstą wodną zasłoną całą okolicę.

Nikola zarzucił bluzę na głowę. Z rękawów ciurkiem woda mu ciecze. Za każdym razem, gdy błyśnie, podnosi rękę, jakby do obrony. I obuwie ma przemoczone. Mokrymi i ociężałymi nogami brodzi rozpaczliwie przez kałuze. Ochlapany cały błotem, znalazł się przed podwórzem i w owym tępym zamyśleniu byłby poleciał dalej, gdyby z progu domu nie zawołał nań stryj Franciszek. Na ten znany głos Nikola stanął. Olbrzym majster pośpieszył naprzeciw niego i swoją ciężką i mocną dłonią chwycił Nikolę za ramię i nie wyrzekłszy ni słowa, poprowadził go ku wejściu do domu. W ciemnym obramieniu drzwi poznał Nikola ojca Pawła i jeszcze go teraz widzi, jak ze skrzyżowanymi rękoma i z cybuchem w ręce oparł się o węgar, a oczyma pełnymi groźby i ciężko tłumionego gniewu strzela na niego, bezmocnego i skruszonego sierotę. Ojciec, chudy, ale kościsty i silny człowiek, już chciał złapać Nikolę za kark z powodu ranionego Marcina, ale w tym wyprostował się przed nim dumnie olbrzym stryj i gdyby się nawet zrósł z ziemią, nie byłby stanął mocniej i bardziej niewzruszenie. Bracia spojrzeli na siebie i w tym spojrzeniu, które trwało ledwie mgnienie oka, powiedziane było wszystko. Gdyby majster Paweł tylko palcem tknął Nikolę, stałoby się nieszczęście.

Właśnie po silnym błysku rozległ się i zahuczał grzmot. Po dudnieniu począł uderzać grom za gromem i w blasku błyskawic zobaczył Nikola, jak piorun uderzył w ową jedyną sosnę na wzniesieniu. Zadrżał całym ciałem i rękoma zakrył twarz. Wstrząsnął się na samo pomyślenie o tym, jak to pokusa go pędziła, aby i on się schronił pod to drzewo. Bóg go ściga. I jeśli dzisiaj zmylił Bożą sprawiedliwość, to dotknie go w przyszłości jeszcze coś gorszego... Dopiero później przypomniał sobie pastucha i kozy, które ze strachu przed burzą żałośnie beczały. Pewnie wszyscy zginęli. I jego byłby spotkał ten sam los, gdyby go przypadek nie ocalił. Od poczucia tego stało mu się ciężko i przemocą łykając łzy, spojrzał na stryja zroszonymi oczyma.

Stryj zauważył to i ścisnąwszy Nikoli mocno dłoń, zaprowadził go schodami na górne piętro. Bał się, żeby chłopak, taki przemoczony, nie zaziębił się, więc pierwszą jego troską było wyciągnąć ze skrzyni czystą bieliznę i niedzielne ubranie. Ze zdjętego ubrania i zezutych butów unosiła się para. Niechaj mu krew żywiej płynie! A gdy mu plecy i piersi poczerwieniały od tarcia, naciągnął mu czystą koszulę i łagodnie pogładził go po licu! Tak! Tak! Niech się nic nie boi. Ojciec jest nagły, ale nie jest złym człowiekiem. Kogoż się ma bać, gdy stryj jest z nim? Niech się nie trapi i o Marcina. Stryj go odwiedzi, skoro tylko burza ucichnie.

Dalszy ciąg nastąpi

KNOTEK I MOTEK GRAJĄ W PING-PONGA

Rys. i tekst: Pawł.



Knotek z Motkiem w swym zapale
W ping-pong grają nieźle wcale.

W rękach, rondel — magielnica —
Ciosy — niczym błyskawica.

Ciotka wpada — spustoszenie! —
Rety! napad — i zgorszenie.

Straż pożarna kres tu kładzie
Groźnej walce w tym nieładzie.





MSZA ŚW. KU CZCI ŚWIĘTEGO RAFAŁA

Ku czci świętego Rafała patrona inwalidów wojennych odprawiona została w Madrycie msza święta. Na naszym zdjęciu na lewo, zrobionym podczas mszy widzimy ministra wojny Varela, obok generał Astrey.

ODNALEZIONE DOBRO KOŚCIELNE

Hiszpański szef państwowy gen. Franco zwiedził wystawę sztuki religijnej w Madrycie, na której wystawione zostały również przedmioty liturgiczne wywiezione przez bolszewików i odnalezione po wojnie.





ZAGRODY WIEJSKIE NA BAGNACH

Podczas wielkiej manifestacji wręczył Mussolini 3.000 wieśniakom dokumenty przejęcia na własność zagród wiejskich wzniesionych na dawnych bagnach Pontyjskich.

KRZYŻE NA ŚMIETNISKU

W kącie cmentarza w pewnej zdobytej wsi ukraińskiej, znaleźli żołnierze rumuńscy na śmietnisku zniszczone krzyże i obrazy świętych. Kaplica cmentarna została zamieniona przez nich na spichrz.





„PSY MINOWE"

Bolszewicy wymyślili sobie nową metodę walki: Tresowane psy obładowane ładunkiem materiału wybuchowego wysyła się przeciw niemieckim wozom pancernym, gdzie powinny przejść pomiędzy kołami i wywołać eksplozję.

ŁOPATY PRZECIW BAGNETOM

Po utraceniu większej części swoich wyszkolonych żołnierzy, szkoli się ostatnich cywilów. Łopatami mają się oni bronić w okopach przeciw atakom na bagnety.

Fot. Ass. Press, Scherl, Atlantic



UWAGA! FOTOAMATORZY!

Ileż zdjęć, które uważalibyśmy za „podchwycone", jest w gruncie rzeczy doskonale przemyślanymi scenami, ułożonymi w najdrobniejszym szczególe przez fotografującego. A mimo to nie znać w nich ani trochę sztuczności. W tym właśnie pokazuje się cała sztuka fotografującego, że „ślady" swej pracy za sobą zaciera, i że zdjęcia wychodzą najnaturalniej w świecie. Cierpliwość przy ustawianiu, następnie zajęcie osób mających być fotografowanymi rozmową tak, by nie spostrzegły właściwego momentu, oto tajemnica tych wszystkich dobrych zdjęć, które ustawione czynią wrażenie najnaturalniejszych.

„W OBOZIE CYGAŃSKIM"

Zdjęcie wykonał p. Hen. Anczak z Mielca, aparatem Kodak, przesłona 8, czas 1/100. Rozmieszczenie osób i wybór tła dobre, po dzieciach widać pewną obawę, która jednak nie skrępowała ich ruchu.

„OGÓRECZKI DO BECZKI"

Miły obrazek, dobrze ułożony. Postacie i przedmioty najważniejsze na pierwszym planie, tło dyskretne, cofnięte. Wyraz twarzy osób naturalny. Zdjęcie wykonał p. S. Kupczakiewicz z Przemyśla, ap. Welta, przesłona 5/6, czas 1/25 sek.



Moda zimowa na świecie



Fot. Atlantic 4
Ass. Press 1

W październiku odbyły się w Paryżu wyścigi konne, ostatnie przed zimą i tam to właśnie lansował jeden z wielkich magazynów mód to oto futro i czapeczkę. Futrzane kepi stanowczo nie ma służyć — jak wskazuje jego wielkość — do nakrycia głowy, lecz jedynie do uzupełnienia stroju.



We Włoszech uzyskały pierwszeństwo na tę zimę srebrne lisy. Srebrne lisy zostały u nas wyparte po części przez jeszcze cenniejsze „niebieskie" lisy. Ponieważ we Włoszech rozwinęła się od pewnego czasu hodowla srebrnych lisów, propaguje się je tam, tym więcej, że są to skóry bardzo piękne. Powyżej widzimy całe futro ze srebrnych lisów. Bardzo piękny jest tu zwłaszcza rękaw, zrobiony z dwóch lisów.



Na lewo: Wprawdzie mało tu mamy futra, jednakże skromny kołnierzyk z czarnego baranka i piękna czapeczka czarna przybrana w oryginalny sposób uzupełniają doskonale typ tej damy. Płaszcz jest również czarny, jest skromny, ale elegancki.





Na lewo: Tu również prezentuje się nam Francja. Garnitur futrzany składa się z żakietu i toczka futrzanego przybranego ptaszkiem.

Na prawo: Dania także nosi futra, jak to widzimy na zdjęciu. Jest to żakiet z białego futerka na pogodniejsze dni zimy.

Nasi pradziadkowie — przy czym to „pra" należy powtórzyć nieskończoną ilość razy — nosili także futra. Nazywały się one jednak tylko „skórami" wywróconymi najpierw włosem na wierzch, potem pod spód. Jak dzisiejsze kożuszki i futra męskie. Panie wolą nosić futra we właściwym tego słowa znaczeniu. Ostatnie lata przyniosły tu wiele nowości. Podniosła się zwłaszcza technika garbarska. Można też było oglądać na wystawach i na pięknych paniach wspaniałe futra, czapki, zarękawki, kołnierze, pelerynki, etole i tym podobne. Dzisiaj ta dziedzina, jak wiele innych, nie może przynieść prawie nic nowego, ludzie bowiem zajęci są garbowaniem swoich własnych skór. Wielkie magazyny mód wysilają się mimo to, by na sezon zimowy pokazać nowe kreacje futrzane. Nasze zdjęcia mają pokazać naszym pięknym paniom, jakie nowości przynosi sezon zimowy w dziedzinie futer. Nie polecamy tych modeli, które przeznaczone są na „wielki występ" w świecie, wyścigi, przyjęcia itp., patrząc jednak na nie przyjdzie naszym paniom może inny pomysł, podobny, będą mogły obmyśleć czy będą dobrze wyglądały w tym lub innym modelu.



Na lewo: Zespół jazzowy Georg Scotta, który w Warszawie zdobył sobie olbrzymią popularność. W środku Georg Scott.
Fot. Zajączkowski

„Café Lucyna"

»Trio Stokowskiej«

W powodzi muzyki jazzowej, królującej dziś w lokalach kawiarnianych Warszawy (wyjąwszy te, które uprawiają specjalnie muzykę poważną) miłym wytchnieniem są poranki tria Stokowskiej w „Café Lucyna". Kierowniczka zespołu, piękna pani Nina, znana z najlepszej strony jako skrzypaczka-wirtuozka ma za partnerów: prof. J. Maklakiewicza przy fortepianie i J. Romeykę, wszechstronnie utalentowanego: wiolonczelistę i barytona, który niejeden sukces święcił w Operze Warszawskiej. Ostatnio zarzucił śpiew, wracając do wiolonczeli, z której potrafi wydobyć tony nieskazitelnej piękności. To trio stanowi szlachetny wzór wytwornej kameralności, łącząc pełen smaku dobór repertuaru z wykwintną interpretacją. Niedzielne poranki październikowe w „Café Lucyna" zdobiło atrakcyjne zawsze nazwisko Lucyny Szczepańskiej: „Słowik Warszawy" stałymi więzami z „Café Lucyną" związany, święcił tu zasłużone triumfy, gromadząc najbardziej doborową publiczność Warszawy.

„Savoy"

»Jaz Georg Scotta«

Jazz! Tyle lat już, przywędrowawszy zza oceanu, króluje na scenach, scenkach i estradach Europy. Otrząsnął się już z „murzyńskich" naleciałości, jazgotliwość stonował, stuszował smakiem kultury muzycznej „konserwatywnej" starego lądu. Zostało to, co najbardziej dla jazzu charakterystyczne: władztwo synkopy. Kto posiadł tajemnicę synkopy, posiadł tajemnicę jazzu. Od dłuższego już czasu triumfuje na estradach Warszawy, a obecnie „Savoyu" zespół Scotta. Jazz Scotta! Gromadzi tłumy entuzjastów, oklaskujących rytmy pełne nowoczesności, nigdy wulgarne, zawsze dyskretnie wytworne, wtedy nawet, gdy muzyka wybucha wulkanem żywiołowej namiętności, gdy tryska radością życia, pieniąc się jak szampan, śmiejąc się czy płacząc „portamentem" saksofonów. Zespół Scotta porywa Warszawę tym, że jest na naszym terenie zjawiskiem odrębnym, indywidualnym. Sukces swój zawdzięcza też różnorodności wrażeń, jakie daje. Idealna taneczność przeplata się tu z nastrojem, sentymentem i tą „łezką", bez której nie ma muzyki „pół serio" — starzy znajdują tu nowość zawsze ważną, zawsze potrzebną. Młodzi kąpią się w rytmie, symbolizującym współczesność, której sami są ucieleśnionym przejawem. Ta nawałnica dźwięków, ten huragan rytmów jest wszystkim w muzyce „jazzowej". Ideałem nowoczesności jest rytm. Idealnym wcieleniem rytmu jest jazz Scotta, prawdziwy jazz bez prowincjonalnej pozy na domniemaną „murzyńskość", odrzucający zgiełkliwość dla zgiełkliwości, pełen smaku i elegancji, niewykluczających żywiołu. Triumf tego zespołu dobrze mówi o intuicji słuchaczów: to powodzenie nie przyszło samo. Jazz Scotta zapłacił za nie uczciwą pracą, nad nieskazitelną harmonią tych czynników, koordynacja których składa się na najlepszy styl muzyki jazzowej. Poza tym program „Savoyu" — już taneczny — wypełnia: doskonały duet Puchówna—Braziewicz, solistki Daisy Scott, L. Grey, H. Kleemann oraz balet „Alhambra". Nad całością czuwa sprawna ręka dyr. F. Sędzierskiego.

Czesław Pudłowski



Przy fortepianie — profesor Franciszek Łukasiewicz, znany chopinista, który w ostatnim czasie dał w Krakowie kilka koncertów. Pierwsze w Domu Plastyków, ostatni w Starym Teatrze. Koncerty zostały przyjęte z wielkim aplauzem.



Strażnik więzienny pyta nowego więźnia:

— Dlaczego pan tu przyszedł, alkohol?

— Nie, woda.

— Woda? — dziwi się strażnik.

— Tak. Jestem mleczarzem.

SPOSÓB OŻYWIANIA

— W twojej powieści zachodzą aż trzy wypadki morderstwa.

— Tak, chciałem powieść trochę ożywić.



Kawaler

— Niech pani to zostawi, panieneczko ja już panią wyręczam.

(Söndagnisse-Strix, Szwecja)



— Przed dwoma miesiącami znalazł pan parasol i dziś dopiero przynosi go pan do biura znalezionych rzeczy?

— No, tak, bo znalazłem lepszy.

(Vidam Usjag, Węgry)

WSZYSTKO JEST WZGLĘDNE

— Powinieneś zawsze wszystko doskonale obserwować. Kto wiele widzi, temu się w życiu dobrze wiedzie — pouczała rodzinka złożona z wuja, starej ciotki i rodziców małego Jasia.

— Tak, tak, wierz starej ciotce, trzeba zawsze wszystko dobrze obserwować.

Na drugi dzień Jasio ogłasza z triumfem: — Widziałem, jak wujcio chował w swojej walizce flaszkę żytniówki, u cioci zobaczyłem w nocnym stoliku sztuczną szczękę, a wieczorem widziałem, że tatuś całował Kasię.

— Co za wstrętny chłopak! — zgodziła się rodzina z wyjątkiem matki — to przecież urodzony szpieg!

W kinie nie było wczoraj przez dziesięć minut światła.

— No i co, była panika?

— Tak, ale dopiero, gdy znowu było jasno.

W HOTELU

Gospodarz: — Czy był pan zadowolony ze swego u nas pobytu?

Gość: — Niezupełnie, proszę pana. Pokój mógł być większy, rachunek mniejszy, wino starsze a pokojówka młodsza.

Mała czarnooka Hanka przyjechała do swego kuzyna na wieś.

Ryś bardzo się dziwi, że Hanka ma takie czarne oczy:

— Ależ ta Hanka ma czarne oczy, mamusiu. Jak ona płacze, to z pewnością atrament idzie zamiast łez.



I to wszystko wskutek straty 20 fenigów w grze w karty.

(Marc Aurelio, Włochy)

ACH, TAK

— Chciałbym kupić aparat radiowy.

— Proszę bardzo. Czy życzy pan sobie aparat na krótkie czy na długie fale?

— Na krótkie, na krótkie. Mamy bowiem bardzo małe mieszkanie.

— Czy zauważył pan, jaki piękny był dziś wschód słońca.

— Nie, ja przeważnie idę spać o tej porze.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 27 (30)

A. DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 27 (30).
A. Chicco („Le Probleme" 1938 — I nagr.).
Czarne: Kd5, Hh7, Gg8, Se6g6, piony: a6, d7 (7).
Białe: Ka2, Hb4, Wh6, Sd3d6, piony: a4, e3 (7).
3-chodówka. 7+7=14.
Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 27 (30).
Isajew („Magyar Sakkvilag" 1926).
Czarne: Kh8, Hh4, Gh3, pion: h7 (4).
Białe: Kh6, Sa2, piony: a6, f2, f3, f6, g5, h5 (8).
Końcówka (+) 8+4=12.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 26 (29) (Froberg): 1. f4 I. 1... e×f3 2. S×g6† i 3. ×. II. 1... g×f3 2. H×f3† i 3. ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 26 (29) (Runck): 1. a7 W–a1 (A, B) 2. e7 Wh–e1 3. W–g1! W×g1 4. e8 H† po czym a8 H i wygr.
(A) 1... W×e6 2. a8 H W×h8 3. W–g8 i wygr.
(B) 1... W–h8† 2. W–g8 W×g8 W–a1 4. e7 i wygr.

PARTIA Nr. 48 (51)

Białe: Botwinnik — Czarne: Rabinowicz
grana w turn. elimin. o m. Rosji sowiec. w Leningradzie 1938
Otwarcie katalońskie

	Białe	Czarne		Białe	Czarne
1.	S–f3	d5	19.	S–d2	W–f6
2.	d4	S–f6	20.	h3(9)	W–h6
3.	c4	e6	21.	G–e4(10)	W×h3
4.	g3	G–e7	22.	G–g2	W–h6
5.	G–g2	0–0	23.	S–e4	H–e8!
6.	0–0	c6(1)	24.	Wf–e1	H–h5
7.	Sb–d2(2)	Sb–d7	25.	b3	W–f8(11)
8.	H–c2	b5!(3)	26.	Wa–d1	G–d6
9.	c5(4)	H–c7	27.	W–e2	H×h2†
10.	S–b3(5)	e5	28.	K–f1	W×f2†!
11.	S×e5	S×e5	29.	W×f2	S–e3†
12.	G–f4	Sf–g4	30.	K–e2	S×c2
13.	e4(6)	d×e4	31.	W–h1	S–d4†
14.	G×e4	f6(7)	32.	K–d2	H×h1
15.	d×e5	f×e5	33.	G×h1	W×h1
16.	G×h7†	K–h8	34.	S–c3	G×c5
17.	G–d2	G–e6	35.	Białe poddały się.	
18.	G–a5?(8)	H–c8			

UWAGI:

(1) Czarne wybrały solidny system obrony, która ma swoje dobre i ujemne strony. Czarne mają trudności w rozwoju swego Gc8, lecz zarazem budowa ich pionów uniemożliwia uaktywnienie białego gońca sfianchettowanego.

(2) Dobrą alternatywą było 7. S–c3, poczem 8. H–c2 i W–d1 z ewentualną możliwością e4.

(3) Inne ruchy, jak 8... W–e8 lub 8... b6, pozwalają białym na bezpośrednie przejście w centrum e4, poczem czarne straciłyby na terenie.

(4) Białe musiały zdecydować się na to obosieczne posunięcie. Jeśli próbują utrzymać napięcie przez 9. b3, wówczas b×c4 10. b×c4 G–a6 11. H–a4 H–c8 z groźbą S–b6. Lub 9. e4 b×c4 10. e5 S–e8 11. b3 c×b3 12. H×c6 b2 13. G×b2 W–b8 i czarne grają następnie S–b6, poczem G–a6. Wkońcu jeśli: 9. S–e5 to S×e5 10. d×e5 S–d7 i czarne miałyby bardzo dobrą grę. Posunięcie w partii krępuje czarne na skrzydle H, lecz także pozwala im na niebezpieczne przejście w centrum pionem e5.

(5) Jeśli 10. a4 to b4 11. a5 G–a6 i czarny G byłby doskonale rozwiniętym, na e4 odpowiedziałyby czarne e5 z jeszcze lepszym skutkiem jak w partii.

(6) Najlepiej. W razie 13. h3 nastąpiłoby g5!

(7) Jeśli 14... f6 to 15. G–g2 G–d7 16. d×e5 S×e5 17. S–d4! z dużym naporem.

(8) Spędza H na lepsze pole i pozwala wieży czarnej przejść via f6 na h6. Najlepszą grą dla białych było 18. f3! S–f6 19. G–f5 G–c4 20. G–d3 G–e6 21. Wa–e1.

(9) Nie 20. G–g6? z powodu H–f8!

(10) Białe mogły utrzymać piona grając 21. h×g4 W×h7 22. f3, lecz czarne byłyby w posiadaniu 2 gońców i miałyby lepszą pozycję.

(11) Czarne figury są świetnie rozmieszczone. Białe zdane są na wyczekiwanie na nieuchronną zgubę.

PARTIA Nr. 49 (52)

Białe: Sawicki — Czarne: Gojer
grana w r. 1934 w turnieju w Rosji sow.
Obrona indyjska

	Białe	Czarne		Białe	Czarne
1.	d4	S–f6	12.	h4	S–d7
2.	c4	b6	13.	W–h3	W–e8
3.	S–c3	G–b7	14.	W–g3	K–h8
4.	H–c2	d5	15.	H–d2	G–f8
5.	c×d5	S×d5	16.	H–f4	H–e7
6.	S–f3	e6	17.	H–e4	f5
7.	e4	S×c3	18.	e×f6	e.p.S×f6
8.	b×c3	G–e7	19.	H–g6	Wa–c8
9.	G–b5†	c6	20.	S–e5	W–c7
10.	G–d3	0–0	21.	G–g5	
11.	e5	h6		Czarne poddały się.	

PARTIA Nr. 50 (53)

Białe: Lisiczyn — Czarne: Kotow
grana w turnieju o mistrz. Rosji sowieck. w Moskwie w r. 1940
Gambit hetmana

	Białe	Czarne		Białe	Czarne
1.	d4	S–f6	14.	a5?(3)	S×c3
2.	c4	e6	15.	W×c3	b5
3.	S–f3	d5	16.	G–d3	c5
4.	S–c3	G–e7	17.	d×c5	S×c5
5.	G–g5	0–0	18.	Wa–c1	g6
6.	e3	Sb–d7	19.	S–d2	W–c6
7.	G–d3	d×c4	20.	G–b1?	Wa–c8
8.	G×c4	a6	21.	f3	H–d8!
9.	a4	b6	22.	W–a3(4)	W–d6
10.	0–0	G–b7	23.	W–c2(5)	b4
11.	H–e2	S–d5(1)	24.	W–a1	b3
12.	G×e7	H×e7	25.	W×c5	W×c5
13.	Wf–c1(2)	Wf–c8	26.	S×b3	W–d1
				Białe poddały się.	

(1) Wariant, polecony przez Grünfelda. Czarne uzyskują wyrównanie gry.

(2) Naturalniejsze i lepsze było 13. Wa–c1 po czym Wf–d1.

(3) Daje złą grę białym. Lepsze: 14. Se4.

(4) W razie 22. b4 S–b3!!

(5) Lub 23. S–f1 b4 24. W–a2 S–b3 25. W×c8 H×c8 z pozycją wygraną.



W sidłach szantażu



Harald Paulsen

Victoria v. Ballasko

Kurt Waitzmann

Fita Benkhoff

Są kobiety o sentymentalnym, romantycznym usposobieniu, którym ciche szczęście rodzinne nie wystarcza, które w pogoni za jakąś wielką miłością rzucają dom i rodzinę i nieraz szczęściem całego życia przypłacają lekkomyślny krok. Taką kobietą jest Helena Buschko, żona urzędnika kolejowego z małej stacyjki. Zaślepiona miłością opuszcza ona męża i córeczkę i ucieka w świat z niejakim Gerberem. Niedługo jednak przekonuje się, że natrafiła na szantażystę i oszusta matrymonialnego, który niebawem dostaje się do więzienia. Mijają lata. Maria córeczka Heleny wyrasta na śliczną dziewczynę. Między nią a asystentem jej ojca wywiązuje się gorąca miłość. Ojciec jednak sprzeciwia się temu małżeństwu widząc w każdym mężczyźnie uwodziciela. Gerber po wyjściu z więzienia udaje się do Wustrow, gdzie również mieszka Maria z ojcem i zarzuca tu sieci na nowe ofiary. Rozpacz Heleny była wielką, straciła ona wszystko co kochała, żyje tylko myślą o zemście na sprawcy swego nieszczęścia. Przybywa za nim do Wustrow i tu go demaskuje.

Fot. Tobis

Wkrótce na naszych ekranach

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900